

Wilia mocarza.

Zanadał cichy wieczór wigilijny r. 1811. Już od godziny szóstej pracował Napoleon I. sam w swoim gabinecie w Tuilervach. Pochylony nad kartami geograficznymi i planami sytuacyjnymi zmarszczył wysokie czoło, na które spada niesforny czarny lok — to czoło ciężkie od myśli, ciężkie jak świat, którego zdobycie rozważa.

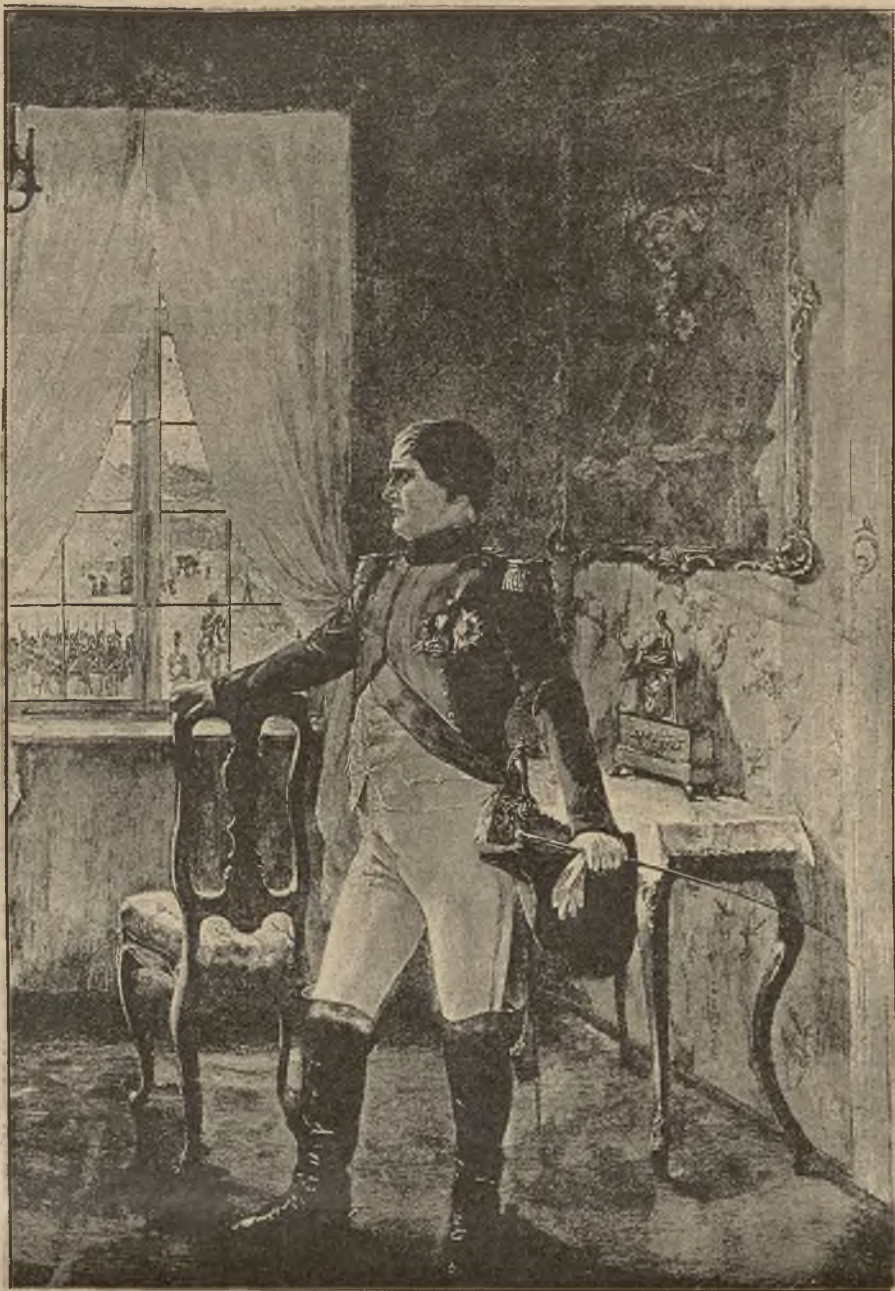
Za oknami wiatr przerzuca suchy, mrozem ściety śnieg, a cicha, gwiazdzista noc powoli roztacza swój majestat nad tętniącym życiem Paryża.

Niecierpliwie przeszedł się cesarz po pokoju. Znowu przystanął. Rozłożony na biurku wielki atlas rozwartý wskazuje kartę Azji, a nerwowa, mała, prawie że kobieca ręka cesarza szuka... wskazującym palcem kreśli drogę daleką, w poprzek Azji drogę do Hindostanu.

Tak! Indyę! Czyżby drogą lądową? Dłaczegóżby nie?

Skrzyżował ręce na piersiach i jakby z góry spojrzał na leżące przed nim karty.

Posiada już władzę Cezara, ba! Karola Wielkiego; majaczy mu się sława Aleksandra. Urzeczywistnienie tych wielkich wojen wydaje się jego potężnemu duchowi nie za wysokie. Wschód go już zna. Zapisał tam już swe imię bohaterskimi wojnami, postawił wieczny pomnik. Wtedy widział go Nil jako dzielnego generała na grzbiecie wielbłąda. Teraz nad brzegami Gangesu on, cesarz, władca pół świata, stanie na grzbiecie słonia Porusa. Wie on, jak wznieść zapal w narodach, jak je fanatyzować. W dalekiej Azji stanie na czele brązowych żołnierzy z białymi turbanami. W sztabie generalnym zasiądą radzowie w błyszczących zbrojach. Losy swe powierzy indyjskim bałwanom, które dziesięć okropnych ramię wznoszą nad mitrą, sadzoną dyamentami. Ich o wyrocznie zapyta, a może chętniej odpowiedzą niż beznosy, tajemniczy sfinks, który w Egipcie nie dał mu klucza do tajemniczej jego przyszłości, choć



godzinami wpatrywał się w kamienne jego oblicze, śniąc swe sny wielkie.

Cesarz Europy! Sultan Azji!

Porywają go te słowa niby magiczne jakieś głoski. Cel ten, ponętny, zaledwie zadowolnić zdoła

tego bezmierną pychę. Jego geniusz zdolny jest do takiej pracy. Przecież nie potrzebuje się obawiać, że to potężne mocarstwo, którego śmiałe granice na mapę rzuca, rozpadnie się kiedyś jak Macedonia i stanie się łupem jego generałów. Od dwudziestego marca, Napoleon ma syna, spadkobiercę jego sławy i potęgi. Wspomnienie o tem dziecięciu, które niedaleko od jego gabinetu spi spokojnie w cichym pałacu, wywołuje uśmiech tryumfu na usta cesarza.

Nagle podniósł głowę. Do uszu jego wpadły dalekie dźwięki, jakby szmer spiżowy, który przekradł się do tego gabinetu poprzez ciężkie portyery. Cesarz słuchał... po chwili zaczął rozróżniać uderzenia dzwonów.

Spojrzał w okno i nagle przypomniał sobie: dzisiaj Boże Narodzenie, dzwonią na pasterkę!

Rozdźwięczały się dzwony Paryża, głosząc cześć rodzącemu się Dziecięciu. Dzwony te dźwięczały podobnie w chwili, kiedy konsul Bonaparte zawieszał je znowu na wieżach kościelnych, przynosząc Francji pokój i godząc powaśnionych braci.

Jakżesz głośno drgały ich serca, kiedy głosiły jego zwycięskie Te Deum, a parę miesięcy temu obwieściły światu nowinę, że urodził się król Rzymu. Zdało się wtedy, że samo niebo uznaje prawość dzieła cesarza i daje mu pierwszy zadatek trwałości.

W dzisiejszy wieczór nie głoszą tryumfów z pod Austerlitz i Wagram. Nie mniej radośnie jednak dźwięki ich lecą w ciemną noc zimową, głosząc chwałę Dzieciątka Betlejemskiego, które przed wiekami w tę noc właśnie spoczęło na słomie w ubogiej stajence. Rozśpiewane ich głosy zdają się nieść w gwiazdziste przestworza hymn:

„Chwała Bogu na wysokościach,
A na ziemi pokój ludziom dobrej woli!”

Cesarz wsłuchał się długo w głos dzwonów. Sni... Marzy mu się młodość. Nie uznawany przez

